Rocznik IV. Kraków 1-go lutego 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 2.

# ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

**Prenumerata „ŚWIATŁA“** wynosi w Austryi na **rok** **4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie, ul. Powiśle 12.

## Gdzie źródło socyalizmu?

Rozpowszechniło się przekonanie, nawet wśród katolików, że źródłem socyalizmu są stosunki społeczne, tak zwana kwestya chleba. Nie da się zaprzeczyć, że kwestya chleba często wywiera na ludzi wpływ przy wyborze stronnictwa politycznego, do którego chcą należeć; jednakowoż zawsze ostatnim powodem należenia do stronnictw wyznaniowych, czy bezwyznaniowych jest religijność, czy względnie brak religijności.

Proletaryusz wierzący będzie zawsze wrogiem materyalistycznej socyal-demokracyi, podczas gdy bezwyznaniowy robotnik przy tych samych warunkach życiowych, a nawet lepszych, będzie się skłaniał do socyal-demokracyi. O tem przekonują nas wyraźne stosunki wśród robotników niemieckich i polskich pod zaborem pruskim. W zachodniej części Niemiec, gdzie wiara katolicka jest silna i gdzie robotnicy są wierzący, socyalizm ma nie wielu zwolenników Tymczasem w Niemczech północnych i środkowych, gdzie ludność jest protestancka, a dzisiaj bezwyznaniowa, socyalizm szerzy się dla państwa pruskiego w sposób zastraszający.

Również i wśród Polaków w Poznańskiem niema prawie całkiem socyalistów, bo tam

wiara jest silna, tem silniejsza, że narażona jest na prześladowanie.

Ci ludzie, którzy rozszerzenie się socyalizmu przypisują stosunkom społecznym i uciskowi politycznemu, powołują się na wolną Szwajcaryę i Stany Zjednoczone, gdzie i stosunki gospodarskie są lepsze i wolność polityczna wielka. Tam więc socyalizm — mówią — nie może się rozwijać. Lecz tym odpowiadamy, że do najnowszych czasów robotnicy w Szwajcaryi i w Ameryce byli religijni czy to w duchu katolickim czy protestanckim. Im więcej jednak szerzy się w Szwajcaryi i Stanach Zjednoczonych bezwyznaniowość przez przypływ robotników bezwyznaniowych ze środkowej czy wschodniej Europy, tem bardziej rozszerza się i w tych krajach socyalizm.

Dlatego też patrzą Amerykanie, którzy chcą pozostać przy swoich dawnych wolnościach, z trwogą na szerzący się socyalizm. „Przegląd Pittsburski“ pisze też o rozwoju socyał-demokracyi co następuje: „Jeżeli jeszcze dzisiaj są ludzie, którzy uważają socyalizm za zagraniczny, przyniesiony chwast, który nie może się udać na ziemi amerykańskiej i którzy zaprzeczają istnienia kwestyi społecznej, to sądzą błędnie. Wobec ruchliwego charakteru wielkich mas ludu amerykańskiego i wobec braku dawnych przekonań religijnych, które są podstawą wszelkiej moralności, może dla naszego kraju powstać ze strony socyalizmu wielkie niebezpieczeństwo“.

Te wywody świadczą, że Amerykanie przypisują usposobieniu religijnemu wielki wpływ na ukształtowanie się stosunków politycznych. Rzecz to pewna, że kwestya chleba ma też wpływ na wytworzenie się stosunków politycznych, ale rozstrzygającą nie jest. Rozstrzygającą kwestyą jest tu raczej przekonanie religijne, które tak przenika stosunki społeczne i polityczne, jak dusza przenika ciało. — Jeżeli dusza jest chora, niszczeje ciało, jeżeli dusza uleci, rozpada się i ciało.

# Rodzina a społeczeństwo!

*Słowo* warszawskie podało niedawno temu cały szereg artykułów, w których znaleść można było dużo słusznych uwag i pożądanych wskazówek dla rodzin chrześcijańskich.

W jednym z nich przedstawiony był stosunek rodziny do społeczeństwa. „Rodzina musi“ — tak pisało *Słowo* — „brać czynny udział w ogólnej pracy dla dobra kraju, przəz zjednoczenie się albo z jakąś instytucyą obyczajową, przez troskę o wzrost oświaty. To wprowadzi do rodziny pierwiastek szlachetny, który wszystkich podniesie, udoskonali, stosunki uzdrowi. Próżniactwo i samolubstwo są zawsze i wszędzie wrogami pomyślności. Próżniactwo ojca i matki musi rodzinę rozstroić i zgubić“.

Autor proponuje środek, mogący mieć przy szerokiem zastosowaniu zbawcze następstwa.

„Niech każda rodzina zamożna wyszuka rodzinę ubogą i zajmie się jej losem: nauką dzieci, zdrowotnością mieszkania i pożywieniem, ubraniem, obyczajami, zarobkami — wszystkiem. Wywrze to na rodzinę zamożną wpływ dobroczynny, i na ubogą. Dzieci poznają nędzę — więc prawdę życia. Nabiorą poważnych myśli. Uszlachetnią się i udoskonalą przez współczucie dla niedoli i bliźnich. Nauczą się spełniać obowiązki Obudzą dobre uczucia w sobie i innych. Rodzina, która potrafi taką pracę podjąć i spełnić — dokona wiele, spełni swój obowiązek i zadanie: da społeczeństwu dzielnych, godnych obywateli.

„Ale — łudzić się nie należy — łatwo to nie jest. Zazwyczaj przechodzić trzeba przez wiele zawodów. To, co z początku wyglądało na białe, okazuje się czarnem. Zdarza się, iż pomoc zamiast podnosić przyczynia się w jakiś sposób do pogorszenia Za dobre chęci zyskuje się szyderswo.

„Naturalnie! Na świecie dużo jest złego! Ale i dobre istnieje. Zadanie pracy społecznej często na tem po-

lega, aby dobro to znaleźć i poprzeć. Szukać więc należy dopóty, dopóki się nie trafi należycie.

„Istnieje jeszcze środeczek — drobny, łatwy, a nieraz bardzo skuteczny do wytworzenia w rodzinie ducha, sprzyjającego wychowaniu, więc pomyślności. W każdej cokolwiek zamożniejszej rodzinie znajdować się powinna na miejscu widocznem puszka do gromadzenia pieniędzy na cel lub cele dobra ogólnego.

„To wprowadzi do domu poczucie obowiązków społecznych. Przypominać będzie o powinności ofiary. Dzieci i starsi zrzekają się przyjemności osobistych na rzecz potrzeb innych, Stąd wpływ dobry na pojęcia, na uczucia i charakter członków rodziny.

„Puszka taka staje się widocznym znakiem łączności rodziny ze społeczeństwem. A bez pamięci bezustannej o przynależności do Ojczyzny i do Ludzkości — nie ma wychowania“.

Środki proponowane przez autora łatwo są do urzeczywistnienia. Wartoby ich w każdym razie spróbować.

---

# Prawosławie w Galicyi.

Po głośnym procesie Olgi Hrabar i towarzyszy w r. 1882, propaganda prawosławia w Galicyi nieco przycichła; zupełnie jednak nie ustała i od czasu do czasu dawała znać o sobie, czy to pojedynczymi wypadkami przejścia na prawosławie tego lub owego chłopa ruskiego, czy to tłumnemi wycieczkami do Poczajowa, urządzanemi przez galicyjskich moskalofilów.

Najwięcej jednak pracowała i pracuje ciągle nad szerzeniem prawosławia w Galicyi prasa moskalofilska, która ustawicznie stara się przekonywać Rusinów, iż stanowią jedność z narodem rosyjskim, i usiłuje zatrzeć odrębność języka ruskiego, nazywając go pogardliwie gwarą, natomiast wprowadzić do literatury i codziennego użycia język rosyjski. Głównymi organami tej prasy są *Prikarpackoj Ruś* i *Gołos Naroda.*

Na skutki tej roboty nie trzeba było długo czekać; oto w ostatnich czasach jawnie już wystąpiła religijna propaganda prawosławna we wsi Cielążu w powiecie sokalskim, w Załuczu, w powiecie śniatyńskim i w Grabiu, w powiecie jasielskim.

Wielu włościan z owych wsi wniosło formalne deklaracye do władz i jak najwyraźniej oświadczają, że przystępują do prawosławia.

Obok wspomnianych wyżej czasopism moskalofilskich, wielki udział w tej propagandzie mają Czytelnie ruskie imienia Kaczkowskiego i bursy moskalofilskie, gdzie się wychowują przyszli działacze i agitatorzy prawosławia.

W ostatnich czasach chwycili się galicyjscy moskalofile jeszcze jednego środka. Oto wysyłają młodzież ruską z Galicyi do zakładów duchownych w Rosyi, rzekomo dla wyższego wykształcenia, a właściwie dla wychowania ich tam na prawosławnych popów.

Z wychowanków tych powróciło już trzech do Galicyi i rozpoczęło zaraz po wsiach jawną propagandę prawosławia w tych zwłaszcza wsiach, gdzie włościanie ruscy mają jakiekolwiek zatargi z proboszczami grecko-katolickimi.

Najłatwiejsze pole do działania znalazł pop Ignacy Hudyma w Załuczu, gdzie już przed kilkoma laty znaczna część parafian ruskich przeszła do cerkwi prawosławnej, a później do cerkwi grecko-oryentalnej. Drugi taki misyonarz Iwan Heczko pracuje w Sokalskiem, a trzeci Maksym Sandowicz w Jasielskiem

Ponieważ w owych gminach niema cerkwi prawosławnych i budować ich nie wolno, gdyż w Austryi prawosławie rosyjskie nie należy do wyznań mających prawo obywatelstwa, przeto wspomniani misyonarze odprawiają nabożeństwa w chatach obałamuconych włościan, a gdy te kaplice władze zamykają, nakłaniają włościan, by wnosili do starostw deklaracye, iż porzucają cerkiew grecko-katolicką, a przystępują do nowo utworzonych parafij prawosławnych, podlegających bezpośrednio wschodnio-prawosławnemu patryarsze w Konstantynopolu.

Już tedy maska zdjęta; całkiem jasno przeedstawione są tu usiłowania, aby pod płaszczykiem wolności religii

sumienia przemycić do naszego kraju prawosławie, które katolicyzmowi i państwu może przynieść nieobliczalne w przyszłości szkody.

Słychać, że w kwietniu bież. roku ma przybyć do Galicyi nowy zastęp misyonarzy prawosławnych, mających się wyświęcić w Rosyi. Dochodzą wiadomości, że w seminarym duchownem w Żytomierzu studyują teologię: Deniowski z Żegiestowa, Cymbara i Senieczko z powiatu tarnopolskiego, Borecki z Popowic, Nyczaj z Czech, Dudyś z Boratyna, Kuszpeta z Brodów, Olchowy z Wysocka.

Całe społeczeństwo naszego kraju powinno energicznie wystąpić przeciw tej kreciej robocie, która ma na celu przygotowanie dla Rosyi gruntu w Galicyi.

# Rozwydrzona młodzież.

Krakowski *Tygodnik mieszczański* pisze: Wcześniej dziś żyć zaczyna młode pokolenie. Byłby to objaw bardzo pożądany, gdyby polegał na wczesnem rozwinięciu umysłowem młodzieży. Niestety rzecz się przedstawia odmienniej nieco. Uczniowie gimnazyalni, zamiast się uczyć i pracować nad sobą, bawią się weselej, aniżeli starsi wiekiem i dojrzali ludzie. Jeżeli się wejdzie do którejś z drugorzędnych restauracyi w mieście, wszędzie młodociani, a nawet niejednokrotnie mundurki gimnazyalne. Bilardy w takich restauracyach są w oblężeniu, alkohol pod różnemi postaciami ma wielkie powodzenie, a krzyk i hałas panuje wprost nie do zniesienia. Buńczuczne miny niedorostków świadczą, że niebezpiecznie byłoby wejść im w drogę.

Smutek bierze, patrząc na marnowanie się takiej młodzieży, która widocznie niedostateczną posiada opiekę domową i szkolną. *Zepsucie ogarnia coraz to liczniejsze rzesze młodzieży i gimnazyalistów*, jedni drugich ciągną do hulanki. Winę w tym wypadku ponoszą pp. restauratorzy, którzy pozwalają na hulanki uczniów w swoich lokalach i rozpajają ich, byle tylko coś

zarobić. Prawda, że magistrat krakowski wydał rozporządzenie, za braniające gry w bilard i zabaw w restauracyach młodzieży szkolnéj, lecz i tych rozporządzeń wcale nie dopilnowuje. Rodzice powinni lepiej czuwać nad synami swoimi, jeżeli pragną doczekać się z nich pociechy i wychować ich na pożytecznych członków społeczeństwa. Pytanie, skąd młodzież bierze pieniądze na tego rodzaju ekscesy? Tu winni są antykwarze, kupujący za bezcen książki szkolne od uczniów

Prócz zabawy po szynkowniach uprawia nasza młodzież jeszcze inny rodzaj rozrywki, bawi się mianowicie w ulicznych kawalerów. Przed szkołami żeńskiemi kręcą się w mundurkach gimnazyalnych dzieciaki. Panicze ci nie dają frmalnie przejść spokojnie ulicą dziewczętom, zaczepiają je nieraz w sposób wprost nieprzywoity, wciskają do książek liściki miłosne, wogóle uprawiają flirt zamiast się uczyć i pracować. Wszakże łatwo byłoby tym faktom zapobiedz, trzeba trochę dbrej woli także ze strony opieki domowej jakoteż i szkolnej.

# Spór o żydów amerykańskich.

Izba reprezentantów w Waszyngtonie uchwaliła jednogłośnie wniosek o zerwanie traktatu z Rosyą, zawartego w roku 1832 i będącego do dzisiaj podstawą stosunków handlowych między obu państwami. Przyczyną zatargu są żydzi amerykańscy.

Rząd rosyjski nie chce przyjmować żydów w granice swego państwa, żydów przybywających z paszportami amerykańskiemi i stosuje do nich te same ograniczenia, które stosuje do swoich poddanych żydowskich.

Z postępowaniem tem godził się przez lat wiele rząd Stanów Zjedoczonych tem łatwiej, że sprawa nie miała praktycznego znaczenia. Żydów w Stanach Zjednoczonych było niewielu, a z nich chyba wyjątkowo przyjeżdżał który do Rosyi. Ale w ostatnich dziesięcioleciach liczba żydów w Stanach niesłychanie wzrosła. Wraz z liczbą i bogactwem wzrósł wpływ ich na opinię i na politykę amerykańskiej Rzeczypospolitej.

Zaczęła się tedy agitacya przeciw Rosyi, starano się wykazać, że Rosya czyni różnicę między obywatelami amerykańskimi, na co rząd Stanów Zjednoczonych zgodzić się nie może. Jeżeli Rosya swych ograniczeń nie cofnie, Stany powinny wypowiedzieć jej traktat.

Rząd rosyjski za pośrednictwem swych dzienników odpierał żądania powyższe twierdząc, że każde państwo ma prawo urządzać swe sprawy wewnętrzne według własnego uznania. Nie może przecież Rosya przyznawać żydom amerykańskim tych praw, których odmawia żydom własnym. Stany Zjednoczone też przecież rozróżniają własnych poddanych: tak n. p. obcy przybysz nie może przybyć na ląd amerykański bez oznaczonej sumy dolarów.

Tłumaczenia rządu rosyjskiego nie zmieniły zapatrywań rządu amerykańskiego. Traktat będzie zerwany, bo senat jednomyślnie się na to zgodził.

Jakich należy się po tych spodziewać skutków? Dzienniki rosyjskie słusznie podnoszą, że Stany Zjednoczone więcej przywożą towarów do Rosyi, niż otrzymują od niej, one tedy na zerwaniu przedewszystkiem poniosą straty. Chodzi wszakże o rzecz inną, Stany Zjednoczone chcą ograniczyć jeszcze bardziej przychodźtwo zamorskie, a zerwanie traktatu pozwoli im obciążyć nowemi ograniczeniami przybyszów z państwa rosyjskiego. W liczbie tych przybyszów pokaźną liczbę zajmują żydzi. Stany Zjednoczone, zrywając traktat, niby ujmują się za żydami, jednocześnie zaś wprowadzą zapewne nowe utrudnienia dla żydów, o ile ci zechcą wyemigrować do Stanów Zjednoczonych.

Rządowa prasa rosyska utrzymuje, iż to właśnie jest ukrytym celem zerwania. Jej zdaniem, nietylko rodowici Amerykanie, ale i żydzi amerykańscy wcale sobie nie życzą dalszego napływu żywiołu żydowskiego z państwa rosyjskiego.

Wogóle widoczne jest jedno: oto coraz większy w Stanach Zjenoczonych prąd przeciwko przychodźtwu, skorzysta ze sposobności, aby się uwolnić od wszelkich zobowiązań względem Rosyi, dostarczającej Ameryce najwięcej przybyszów żydów.

# Ostatni kulig staropolski.

(Ciąg dalszy).

— Ach, mój Jacusiu — mówił oddychając całą piersią, ledwo żyję. Czy wiesz, że mało mnie te bestye nie zażarły na drodze. Ocalenie moje winienem jedynie rączości dzielnego jednochodnika i przytomności małego Januszka, co nim kierował. Kiedy wspomnę sobie tę chwilę, to mróz czuję w kościach.

— Widziałem ich gromady — odrzekł Jacenty, i dreszcz mnie przeszedł, lubo ufałem w pochodnie i kagańce.

— Uważał pan Adam, żeś pan pobladł nieco, dodałem, gdy kazałeś w opłotkach gasić pochodnie.

— A zkądże wiesz o tem? — zapytał chmurno nadleśny.

Siedziałem w saniach państwa Adamostwa, obok woźnicy, i słyszałem całą ich rozmowę.

— Było czego też zblednąć, mój chłopcze, — mówił pan Jacenty marszcząc brwi ponuro.

Jak żyję i jestem myśliwym, takiej ćmy djabelskiej wilków zebranej razem nie widziałem nigdy; ślepia ich błyszczały w gęstej puszczy, jakby gwiazdy rzucone z czarną chmurą na ziemię.

— Ach mój Jacusiu, — mówił skoczek, już u mnie była dusza na ramieniu. Wyobraź sobie: na gościńcu mały Januszek kręcił głową, bo poczuł gęsty trop wilków, ale zaledwie zjechaliśmy na drogę do Mieszkowa, stanął w sankach i rzekł do mnie z cicha: »Trzymajmy się krzepko w saniach, bo jeżeli nie uratuje nas białonóżka, to zjedzą nas bestye«. Myślałem, że chłopak żartuje, ale spojrzawszy w około zadrżałem: kotłowało się tylko w zaspach śniegu od rozrzuconych gromad wilków, co zbierały się w jedną chmarę. Januszek nacisnął czapę, świsnął i potrząsnął lejcami, a białonóżka, jak wiatr pomknął. Droga jak po stole, to też lotem sokoła przelecieliśmy pod opłotki wiejskie, zanim nam wilcy mogli zastąpić. Kiedy wpadliśmy do wsi, byliśmy obaj spoceni do nitki, nie mówiąc już o dzielnym białonóżce. Januszek wstrzymał konia, przeżegnał się, a od-

wracając głowę: »Patrz pan, zawołał, i przelicz gromadę tych bestyj!« Zajechaliśmy do karczmy: parę kieliszków anyżówki dopiero przywróciło mi zmysły. Zmrok już zapadał; co prędzej wjechaliśmy na podwórze, nie uważając, że dwór cały jaśnieje od rzęsistego światła. Zwyczajem dawnym zrzucam niedźwiedzie, wpadam na salę, zaczynam skakać po krzesłach i stołach, krzycząc: »Kulig! kulig jedzie!« Za odpowiedź, jak utnie kapela krakowiaka, tak ja w nogi i na sanie, zmiarkowawszy, że skarbnikostwo już wiedzieli o naszem najeździe; ale nie wracałem już do was, tylko napowrót do karczmy. Dopiero z Januszkiem zaczęliśmy o was myśleć. Chłopak dodawał mi nadziei, że tak licznego kuligu nie zaczepią wilcy, że tam będzie pewnie pan Jacenty...

W tę chwilę kapela zabrzmiała poloneza Kościuszki, wszyscy ruszyliśmy do sali.

* * *

Na czele długiego szeregu par stał pan skarbnik, wiodąc za rękę starościnę; w drugiej parze postępował starosta ze skarbnikową. Dwaj ci sędziwi starcy z poważnemi matronami, wiodąc rej w tym polskim tańcu, stanowili główną jego ozdobę. Przybrani w granatowe kontusze, w perłowe żupany i bogate srebrem i złotem przerabiane pasy, postępowali wolnym krokiem w takt do tańca, a za nimi w ich tropy rozwijał się długi korowód par statecznych i młodzieży.

Aby poznać całą powagę i piękność tego tańca, którego tradycyą coraz bardziej zatracamy, trzeba było widzieć naszych starych kontuszowców, z jaką gracyą wiedli swoje damy; z jakiem uszanowaniem pochylali siwe głowy przed niemi, gdy zataczali kołem w inną stronę; z jaką energią i życiem przytupywali w taktowym, posuwistym chodzie; z jakim wdziękiem i z jaką składnością to ujmowali się pod bok ręką, to pokręcali sumiastego wąsa: z jaką wreszcie atencyą i rewerencyą tanecznice swoje odprowadzali na miejsce i dziękowali ucałowaniem ich rączek, że raczyły towarzyszyć im tańcu.

Na dany znak umilkł polonez. Starosta ze skarbnikiem i z podżyłymi przyjaciółmi i krewniakami, przeszli do

bocznego pokoju, gdzie na tacy zastawiono kieliszki i butelki opleśniałe z węgrzynem; starsze wiekiem matrony pozostały w sali, patrząc na wesołą młodzież, jak się zabierała do ochoczych tańców.

Kulig miał dawniej do siebie przywiązane pewne tylko tańce: do nich należał polonez, mazur, oberek, krakowiak i drabant. Znane i upowszechnione u nas wówczas, jak: walc, kotylion, anglez i kontredans, wywołane były ze staropolskiego kuligu.

W gronie gości skarbników, których zastaliśmy w ich domu, zwróciła uwagę moję postać poważnej matrony, lat może czterdziestu, ale czerstwej jeszcze i dorodnej. Przy niej nieodstępną towarzyszką była młode dziewczę, lat 16, z anielskiem spojrzeniem i uśmiechem. Uważałem, że pan Jacenty ciągle towarzyszył tej parze: bawił rozmową poważną damę, a z wielkiem wzruszeniem spoglądał na piękną panienkę.

Korzystając z chwili, gdy wyszedł do bocznego pokoju:

— Kto to jest panie Jacenty, ta dama i ta śliczna panna?

— Starsza, panna-wdowa, a ten śliczny, jak dobrze mówisz, aniołek, to panna Hanna, córka kapitana, co w sąsiedztwie mieszka. Ale chodźmy na ganek, noc pogodna i jasna; ochłodzę się nieco po tańcu.

Rzeczywiście noc była przecudna; błask księżyca jeszcze jaśniej odbijał od białego śniegu; puszcza ciemna nabrała jakiegoś jaskrawego połysku: to szron zawieszony na gałęziach sosen, promienie księżyca brylantowemi odbijał ognikami.

— Patrz tam, — rzekł Jacenty, na prawo, już w czystem polu, na tem wzgórzu ocienionem wieńcem gęstym starodrzewu: to dwór w Dąbowej-Wólce kapitana, ojca tej panienki, a na uboczu drewniany kościołek ubogiej parafii.

— Czy kapitana tu niema w naszym gronie?

— Nie, żona nieco słaba, wysłali córkę z krewną swoją, panną Brygidą.

— Dlaczegożeś, mój Jacusiu, nazwał ją panną-wdową?

W tę chwilę kapela zabrzmiała dziarskiego mazura. Zerwał się pan Jacenty:

— Zamówiłem kapitanównę, po tańcu wszystko ci opowiem.

Wróciliśmy na salę.

Trzeba było widzieć, jak on tańczył mazura z piękną Hanną. Słynął też nie darmo na całą okolicę. Trudno dziś zobaczyć równie energiczny, dziarski i rycerski taniec, jakim bywał mazur w owe czasy. Teraz młodzieniec z hardą i zuchowatą miną, dzielnie się zwija, ale mniej dba o swoję tancerkę, sam sobą zajęty; dawniej tancerz, rozwijając całą dzielność męską, na chwilę nie spuścił z oka swej towarzyszki. Kiedy z miejsca poskoczył, z wydatną piersią, z głową podniesioną, wznosząc lewą rękę w górę, uderzając podkówkami silnie, aż okna zadrżały, to jakby z całym zapałem uderzył w otwartym boju na nieprzyjaciela. Ale po chwili, gdy spojrzał na swą tanecznicę, co drobnemi nóżkami podążała w jego ślady, to już od jej oblicza, od jej postaci nie odwracał oczu. Po pierwszym junackim ruchu, zwraca całą troskliwość na miłą, a piekną towarzyszkę, wiedzie ją z wdziękiem, staje, pochwyca w pół, ona w około niego okręca się, jak bluszcz zielony około dębu silnego, gotowego do łamania się z burzą życia i losów nieprzyjaznych.

Zawiodło dwanaście par wielkie koło i skończył się mazur.

Jacenty usiadł zmęczony w końcu sali przy mnie, a odetchnąwszy swobodnie, tak ciągnął dalej przerwane poprzednio opowiadanie:

— Dziwiłeś się, żem pannę Brygidę, opiekunkę kapitanówny, nazwał wdową. Opowiem ci jej krótkie, a smutne dzieje. Jest to krewniaczka daleka kapitana, była zaręczoną z jego rodzonym bratem starszym, panem Janem. Dzień ślubu już był oznaczony, kiedy go dawni towarzysze broni wezwali do legionów włoskich. Pan Jan, dawny z kościuszkowskich czasów wojak, stanął przed swą narzeczoną smutny i blady, pokazał wezwanie i jedno tylko wyrzekł slowo: »jadę«.

— Jedź, o jedź, mój drogi, przemówiła drżącym głosem młoda wówczas i piękna Brygida; ale chodźmy może raz ostatni wysłuchać razem Mszy świętej.

Właśnie dzwonek z drewnianego kościółka, który ci pokazywałem, wzywał wiernych do modlitwy. Klęcząc przy wielkim ołtarzu, wysłuchali nabożeństwa, a sędziwy proboszcz, uwiadomiony o powodach ich rozłączenia pobłogosławił pochylonym ze łzami u stopni ołtarza.

— Ja ci przysięgam, Janie, że będę czekać twego powrotu, i że innego nie będę żoną.

Wojak podaną rękę ucałował, a ściskając ją, wyrzekł wzruszonym głosem:

— A ja przysięgam, że będę ci wiernym do śmierci.

Dosiadł konia i wkrótce zniknął z oczu Brygidy.

Odtąd wiele lat upłynęło, rzadkie o wojaku przynosząc wieści. W boju wszędzie narzeczony panny Brygidy odznaczał się dzielnie, został szefem batalionu, a potem... zginął w górach włoskich, w wyprawie partyzanckiej.

*(Dokończenie nastąpi).*

# Z TRYPOLISU.

W mieście Trypolisie rozwija się nowe życie, a Włosi już zaczynają się aklimatyzować. Rzeczywiście widok Trypolisu i oazy jest bardzo piękny. Na południowo wschodnim krańcu starego miasta wznosi się wielki pałac rządowy, przez Turków zwany serajem, przez innych „kasbachem“. Potężne jego mury od północy wyrastają z morza, na południe zaś wychodzą na główną ulicę starego Trypolisu, wiodącą z portu obok seraju do wschodniego krańca miasta, a przez „bramę oaz“ (Bab el meszja) w pole. Tutaj styka się stary Trypolis z nowym, Afryka maurytańska z nowoczesną. W tyle wznosi się wysoki mur miejski, na prawo poprzez szachownicę domów nowego miasta widać palmy oazy, na prawo widnieje błękit morza, nad jego brzegiem ciągnie się ogromna targowica.

Przed bramą oaz w niedzielę i święta, gdy przed kasynem wojskowem gra muzyka, przechadza się wielki świat Trypolisu, obok na targowicy panuje ścisk przy kramach z chlebem, dalej zaś przy studni wypoczywają przybysze arabscy z wielbłądami. Idąc z targowicy ulicą „Szar el szot", dostajemy się na oazę do wielkich „fenaduków" (magazynów), gdzie robotnicy sortują „halfę" (trawę), prasując ją w duże sześciany. Do tej dzielnicy magazynów przytyka od wschodu przedmieście Dahra, siedziba Turków, Arabów i Maltańczyków, posiadających kramy i szynki, do których uczęszczają Murzyni z pobliskiej osady. Murzyni w czasie trzech świąt: mahometańskiego piątku, żydowskiej soboty i chrześcijańskiej niedzieli nie pracują i mają dosyć sposobności do wydania pieniędzy, zarobionych w ciągu reszty tygodnia.

Pomiędzy południowym murem starego Trypolisu, a oazą rozciągał się dawniej pas piasku, który jednakże w południowo-wschodniej części został zabudowany, cały zaś rejon przed bramą oaz jest nowem miastem, gdzie jest pałac Walego, pomieszkanie burmistrza, siedziba konsulatów, gdzie wznoszą się szkoły i szpitale, gdzie znajdują się sklepy bogatych kupców, tudzież ich wille.

W stronie południowej przedmieścia zlewają się z oazą, która nie jest pokryta jednostajnym lasem, ale odrębnymi gajami palmowemi, pomiędzy którymi znajdują się ogrody i pola uprawne. Te ogrody są prawdziwym rajem. Tutaj zielenią się nieustannie drzewa i krzewy. Rosną tu drzewa pomarańczowe i cytrynowe, oliwki i granaty, dr ewa figowe, akacye, a nawet jabłonie i grusze. Na grzędach widać prawie wszystkie jarzyny znane w Europie. Mniej zato kwiatów ozdobnych. Ale już wczesną wiosną kwitną narcyzy, a z początkiem maja wspaniałe róże damasceńskie. Oaza tripolitańska jest sucha i gorąca, posiada jednakże o wiele więcej wilgoci, niż oazy w głębi kraju, zwłaszcza w Fessanie.

Trypolis jest krajem afrykańskim wprawdzie, leży jednakże na północy tego lądu i nad morzem. Wiatry od morza ochładzają powietrze. Sierpień, najgorętszy miesiąc w Trypolisie, ma temperaturę 26·4 stopni C., tyle, co ten sam miesiąc w Catanii u stóp Etny, w odległości

500 kilometrów na północ. Przeciętna temperatura stycznia wynosi w Trypolisie 11·7 stopni C. ponad zero. Od maja do września panuje posucha, od listopada do lutego trwa pora deszczów, zwykle ulewnych.

Oaza trypolitańska ma teren pagórkowaty. Na suchych pagórkach rosną drzewa daktylowe, w zagłębieniach leżą ogrody, pilnie nawodniane przez studnie. W ogrodach znajdują się domy, zamieszkane bądź przez właścicieli, bądź przez dozorców. Na długości 20-tu kilometrów od zachodu ku wschodowi ciągną się gaje i ogrody, domy i zabudowania gospodarskie. W pobliżu wielkiego cmentarza są nawet wyszynki wina i piwa.

# W kraju «Czarnego Smoka».

Od jednego z Polaków, zamieszkałych w Charbinie, który świeżo odbył dłuższą podróż po Chinach, otrzymał warszawski „Dzień“ ciekawe spostrzeżenia z kraju „Czarneg Smoka“.

Niezwykła zimna krew i obojętność Chińczyków we wszystkich okolicznościach ich życia, zdumiewa wprost Europejczyków, nieprzyzwyczajonych do takiego spokojnego traktowania poważnych objawów życia.

Kiedy całe państwo przeżywa niebywały przewrot, w czasie którego giną całe miasta i setki ludzi, w sąsiednich miejscowościach, często znajdujących się w bardzo nieznacznem oddaleniu, niema żadnych oznak rewolucyi. Wszędzie wre życie, ludzie zajęci codzienną pracą, biegają, duszą się, riksze (maleńkie wózki, popychane przez ludzi) przebiegają ulicę, a policyanci z krótkiemi pałeczkami stoją na środku ulic i z najzimniejszą krwią okładają od czasu do czasu niezgrabnych przejezdnych.

Wszędzie ludzie zajęci handlem, codzienną pracą i nawet nigdzie nie słychać rozmowy, dotyczącej obecnych wypadków.

Tak samo było podczas dżumy, która grasowała przed rokiem. Podczas największego rozwoju epidemii, kiedy gazety ilość trupów obliczały na setki dziennie,

dotknięte dżumą miasta chińskie przedstawiały obraz zupełnego spokoju.

Dżuma niewątpliwie przyspieszyła wybuch rewolucyi, chociaż właściwą jest znana nędza w Chinach.

Dynastya mandżurska doprowadziła Chiny do ostatecznej nędzy. Życie w Chinach, w porównaniu ze stosunkami europejskimi, jest bardzo tanie. Za kilka „czochów“ (10 czochów = 3 halerzy) niezamożny Chińczyk potrafi żyć kilka dni. Pomimo tego cały kraj roi się od obdartych nędzarzy gotowych na wszystko.

W całych Chinach niema ani jednego towarzystwa dobroczynności; ten, ktoby podniósł tę kwestyę, byłby tutaj okrzyczany za ostatniego głupca. Chińczycy twierdzą, że biednymi mogą być tylko źli, nieuczciwi ludzie, ponieważ dobry człowek może być kupcem, złego zaś człowieka nie trzeba wspierać. Z tego powodu nędzarze są pozostawieni na łasce Opatrzności.

Rewolucya dla dynastyi jest bardzo groźna i prawie, że nikt już nie wierzy, żeby dynastya mogła się utrzymać. Wojska rządowe często bez wystrzału przechodzą na stronę rewolucyonistów. Rząd, straciwszy grunt pod nogami, wydaje coraz mniej sensu mające edykty. Z początku groził rewolucyonistom okropnemi karami, potem, widząc, że to nie pomaga, darował im wszystkie przewinienia, byle tylko się uspokoili. I to jednak pozostało bez skutku. Wtedy rząd wydaje edykt, w którym naiwnie przyznaje się do kradzieży, rozboju i nadużyć, prosi jednak darować mu to wszystko, solennie obiecuje poprawę; w edykcie owym rząd nadaje wszystkie prawa Chińczykom i równa ich z nieawistnymi mandżurami.

Wszystko to jednak na próżno, ponieważ rząd rewolucyjny nie chce słyszeć nawet o żadnych ustępstwach na rzecz dynastyi. Wszystkie siły rewolucyi zdążają do Pekinu, gdzie ostatecznie będzie rozstrzygnięta kwestya, jaką formę rządu mają posiadać Chiny.

Okrucieństwa walczących przechodzą wszelkie pojęcie. Rząd mandżurski rozsyła setki szpiegów, którzy pakują podejrzanych do więzień. Jest to najokrutniejsza kara, ponieważ z powodu olbrzymiej ilości uwięzionych istniejące więzienia okazały się niewystarczające i rząd

kazał przygotować tymczasowe więzienia. Takie więzienie przedstawia głęboki dół, wykopany w ziemi i przykryty kratą, a często napełniony wodą i nieczystościami. Do takiego dołu wpędzają dziesiątki uwięzionych i pozornie zapominają o nich. Upływa dzień drugi. Męki głodu i rozpaczy dręczą nieszczęśliwych. Niektórzy tracą zmysły i wygadują bez sensu, każde zaś słowo, to akt oskarżenia dla nich i dla innych, ponieważ szpiegi podsłuchują obok. Co godzina w tej wstrętnej jamie kona człowiek, a potem żywi zjadają trupa.

W więzieniach chińskich kwitnie ludożerstwo na wielką skalę. Okropną rzeczą jest także tak zwana „popatka“ czyli lekka bambusowa deszczułka, którą biją po plecach. Szczytem doskonałości i umiejętności dla kata jest uderzanie w jedno i to samo miejsce, aż do wyrwania kawału żywego ciała. Po takiej operacyi nawet najsilniejsi umierają. Dlatego Chińczycy wolą być wyprowadzeni na plac „hun-dy“ i ścięci, aniżeli poddać się operacyi popatkowej.

Ścinanie głów na placu „hun-dy“ odbywa się z zadziwiającą prostotą. Skazani stoją rzędem jeden za drugim, kat zaś ścina głowy po kolei. Podczas jednej takiej ceremonii ciekawy Europejczyk przyniósł aparat fotograficzny, chcąc zrobić zdjęcie. Skazani z ciekawości spoglądali na aparat, wesoło rozmawiali i śmiali się, a kiedy Europejczyk po zrobieniu zdjęcia z hałasem zamknął aparat, eden ze skazanych, stojący w szeregu, klasnął w dłonie i rzekł ze śmiechem: „szybko szango kapitan“. Za chwilę ten sam Chińczyk oddał głowę katowi.

Praktykowane dawniej bicie w pięty bambusowemi laskami, jako przestarzałe i widocznie, podług pojęć chińskich, za delikatne, zostało wycofane z użycia. Opisane męczarnie zadają Chińczykom przedstawiciele ginącego rządu, rewolucyoniści zaś przeciwników poprostu wieszają podług zwyczaju europejskiego. I tutaj widać już postępy cywilizacyi. W Tientsinie na długi czas przed rewolucyą został wtrącony do więzienia pewien zdecydowany rewolucyonista Czyn-Ty.

W więzieniu Czyn-Ty zaprzyjaźnił się z drugim Chińczykiem, wsadzonym do kozy za jakieś zwyczajne prze-

stępstwo. Po wzięciu Tientsinu przez rewolucyonistów, ci ostatni uwolnili Czyn-Ty i mianowali go prefektem. Nowy prefekt uwolnił i swego towarzysza niedoli, poczem zamianował go swoim sekretarzem. Wypuszczony z więzienia Chińczyk był tylko trzy dni sekretarzem Czyn-Ty. Pewien bogaty Chińczyk ofiarował na cele rewolucyi 30.000 taeli i wręczył je prefektowi za pośrednictwem sekretarza, ten zaś 10.000 schował dla siebie. Gdy się sprawa wydała, sekretarz z rozporządzenia prefekta został na synku powieszony i tam wisiał dla przykładu kilka dni.

Chęć zarobku gra największą rolę. Pewien generał rządowy otwarcie obiecał przystąpić do rewolucyi za 70 000 taeli, rząd jednak dał mu 100 tysięcy, wobec czego generał pozostał na miejscu. Gdyby jednak rewolucya nie przybrała takich rozmiarów i rząd się czuł więcej silnym, generał ów za zdradę byłby napewno ścięty.

Kiedy rowolucyoniści zdobyli jedno z miast chińskich z okręgu Czifu, w środku miasta odbywało się najspokojniej... wesele chińskie. Jest to dość ciekawy obrzęd. Odbywa się on zwykle na podwórzu. Kilku Chińczyków przynosi stół, nakrywają go czerwonym suknem i ustawiają dwie świece zapalone i dwa naczynia, z których wydobywa się dym z zapachem mogącym przyprawić na mdłości, obok stołu stoją krzesła, na których siadają zaproszeni goście. Przychodzi narzeczona w spódnicy z twarzą przykrytą welonem i zaczyna się ceremonia. Jeden stary Chińczyk przyskakuje do panny młodej, kłania się i pokazuje duży palec, krzycząc w niebogłosy niezrozumiałe dla Europejczyków wyrazy. Potem Chińczyk oblatuje dwa razy podwórze, gasi na stole świeczki i już po ślubie. Pan młody, jak się okazuje,, przy ślubie nie jest obecnym, a czeka on z przygotowaną ucztą u siebie na pannę młodą i gości. Tutaj już odbywa się uczta wedle zamożności pana młodego, często składająca się z kilkudziesięciu nader małych potraw.

# Rozmaitości.

**Ku czci Kołłątaja.** W roku bież., obok innych obchodów ku uczczeniu pamięci wielkich mężów (Krasińskiego, Skargi, Kraszewskiego, Syrokomli), przypada także obchód ku czci X. Hugona Kołłątaja, jednego z głównych twórców Konstytucyi 3-go maja, reformatora ówczesnego szkolnictwa, pisarza politycznego i męża stanu.

Towarzystwo Szkoły Ludowej, które urządza tradycyjnie obchody 3-go maja w każdym roku, w roku bież. postanowiło na całym terenie swej działalności urządzić w tym dniu uroczyste obchody ku czci X. Kołłątaja i zapoznać lud polski z spuścizną jego dzieł, czynów i zasług.

W tym celu postanowił Zarząd Główny Towarzystwa Szkoły Ludowej urządzić w dniu 3-go mają obchody w Krakowie i we Lwowie, we wszystkich Kołach T. S. L., oraz skłonić Koła do urządzenia obchodów po czytelniach wielskich, których liczba przekroczyła już 2.000, przyczem będą wygłoszone popularne odczyty o X. Kołłątaju. Szczegółowy program uroczystości przygotowuje obecnie Zarząd Główny i poda bliższe szczegóły do wiadomości za pośrednictwem czasopism polskich i organu Towarzystwa: *Przewodnik Oświatowy*.

**Postępowanie inspektora Rusina.** Niedawno otrzymało nauczycielstwo powiatu kosowskiego nowego inspektora szkolnego w osobie Ks. Abrysowskiego Emila, Rusina, który objął urzędowanie po zasłużonym dla powiatu tutejszego inspektorze Lewandowskim, przeniesionym do Przemyśla.

Nowy ksiądz inspektor postanowił za każdą cenę oczyścić powiat z Polaków - nauczycieli. Szykanuje ich tedy na każdym kroku i obsadza posady stałe wyłącznie Rusinami w szkołach polskich.

**Niemcy w Galicyi.** Kresową miejscowość Wilamowice zamieszkują po części osadnicy, przybyli tu z Niemiec w XIII. wieku po części rdzenni Polacy. Potomkowie osadników niemieckich używają ogromnie skażonego języka niemieckiego, tak zwanej „gwary wilamowickiej“ i żyli dotąd z Polakami w zupełnej zgodzie. Ale i tam prusofilski „Bund der christlichen Deutschen in Galizien“ zapuścił zagony i znalazł dosyć licznych zwolenników. Rzeczy zaszły już tak daleko, że obecnie Wilamowice mogą być stracone dla polskości. Duchowieństwo i nauczycielstwo walczy dzielnie w obronie polskości, niestety jednakże lud polski nie popiera należycie tych usiłowań.

Oto na posiedzeniu w dniu 31-go grudnia 1911 roku Rada gminna uchwaliła, ażeby w tutejszej cztero - klasowej szkole ludowej językiem wykładowym był j ę z y k n i e m i e c k i, chociaż od lat 35-ciu obowiązuje język polski — a następnie zażądała od władz krajowych przysłania nauczycieli niemieckich. Uchwała ta nie jest wcale wyrazem potrzeb ludności tutejszej, lecz jedynie wynikiem agitacyi „Schulvereinu“ i „Bundu“, — języka niemieckiego uczy się

w szkole wspomnianej dziatwa w zakresie tak obszernym, że nie nie ma żadnego powodu do zmiany pod tym względem.

Rada gminna nie ma prawa decydować samodzielnie o języku wykładowym szkoły, tudzież o doborze sił nauczycielskich, gdyż gmina pokrywa zaledwie 10 % wydatków na utrzymanie nauczycieli. W Wilamowicach stanęła nowa szkoła, zbudowana przeważnie kosztem kraju — gdyż subwencya Rady szkolnej krajowej wynosi 35.000, resztę w kwocie 13,000 koron ma pokryć gmina — i oto tę szkołę pragnie tutejsza Rada gminna zgermanizować. Osoby mające głos w tej sprawy, winny zapobiec germanizacyjnym zakusom Rady gminnej i utrzymać polskość w Wilamowicach.

**Klasztory w Austryi.** Według statystyki jest w Austryi 1.640 klasztorów męskich i 11.116 zakonników, a 2.316 klasztorów żeńskich i 27.389 zakonnic. Z tego Galicya posiada 652 klasztory, w tem 135 klasztorów męskich z 1.895 zakonnikami i 517 klaktorów żeńskih z 4.420 zakonnicami.

Co do ilości zakonników przewyższa Galicyę jedynie Austrya Dolna, która ma 2.211 zakonników i 6.171 zakonnic. Ponieważ jednak cyfry te wyjęte są ze statystyki z 1900 roku, przeto liczba klasztorów i ich członków jest znacznie większa i można śmiało liczbę zakonników i zakonnic w Austryi podać na 40.900

**Zwalczanie drożyzny w Niemczech.** Rząd pruski rozesłał do zarządów miast okólnik, wskazujący na zbyt wielkie różnice, które wystąpiły między cenami za nierogaciznę, a cenami wieprzowiny. Okólnik podnosi, że zarządy miast winny rozważyć środki celem zmniejszenia nieuzasadnionego podrożenia tej najważniejszej sorty mięsa dla ubogiej ludności.

Gdyby się nie dało to osiągnąć przez porozumienie z rzeźnikami, musiałyby miasta przystąpić do utworzenia własnych jatek. Oprócz tego mają być sprowadzane ryby morskie w większych ilościach, a ziemniaki, owoce strączkowe i jarzyny będą gminy sprowadzały i we własnym zarządzie sprzedawały po cenie własnych kosztów. Dla tego rodzaju transportów zaprowadzono równocześnie zniżki taryfowe na kolejach.

W Bambergu w Bawaryi postanowił magistrat utworzyć komisyę dla notowania cen, która ma sprawdzać różnice między cenami przy zakupnie bydła, a cenami przy sprzedaży mięsa, i ogłaszać je dwa razy tygodniowo. W razie potrzeby będą sprzedawcy wezwani do zniżenia cen, a gdyby się wzbraniali, gmina przystąpi do zorganizowania rzezi bydła i wyrębu mięsa we własnym zarządzie lub na podstawie spółdzielczej. Także sprzedaż kartofli ma być w ten sam sposób poddana kontroli.

## CZĘŚĆ POWIEŚCIOWA i NAUKOWA.

# Jak dawno człowiek żyje na ziemi.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli więc na rozrodzenie się ludności po potopie przyjmiemy 1000 lat, jeżeli na zajęcie i skolonizowanie Egiptu przez ludy azyatyckie przyjmiemy drugie 1000 lat aż do założenia tam pierwszej monarchii, a do tego dodamy 3.500 lat od Manesa do Chrystusa, to otrzymamy 5500 lat, a to czas chyba dostateczny na rozrodzenie się w miliony potomków Noego.

Vogt, uczony niedowiarek niemiecki, sądzi, że niemożliwem jest, żeby wychodźcy z Azyi zaludnili w staro żytności Europę, Amerykę i wyspy australskie i dodaje, że w tych częściach ziemi istnieli ludzie od milionów lat, niezależnie od ludów Azyi.

Ale to twierdzenie jest błędnem, bo przecież z Azyi do Ameryki przez cieśninę Berynga, w zimie zamarzniętą, droga niedaleka i nietrudna, a z wysp aleuckich do Kamczatki przeprawa bardzo łatwa. Nie jest wykluczonem także, aby z wysp australskich nie popłynęli ludzie do Ameryki.

Wiemy także, iż długo przed odkryciem Ameryki przez Kolumba, odbywali Normanowie przez Islandyę i Grenlandyę podróże do północnej Ameryki i mogli ją zaludnić. Chińczycy także znali już Amerykę w odległej starożytności.

Że ludność Ameryki pochodzi także z Azyi, względnie z wysp australskich, świadczą o tem obyczaje i zwyczaje Indyan amerykańskich, ich skład czaszki i budowa ciała, bardzo do rasy malajskiej i mongolskiej (w Azyi) zbliżona.

A choćby nie było umyślnej kolonizacyi Ameryki, to czyż burza morska nie mogła łodzi z ludźmi zapędzić

z wysp australskich na brzegi amerykańskie i w ten sposób dać początek zaludnieniu tej części ziemi?

Że wszyscy mieszkańcy ziemi chociaż różnią się między sobą barwą skóry i ukształtowaniem czaszki i ciała są z sobą, a względnie z ludami Azyi niejako spokrewnieni, świadczą o tem także różne rasy ludzkie, których jest pięć: kaukaska, mongolska, etyopska (murzyńską), amerykańska i malajska.

Rasa kaukaska odznacza się skórą białą, mongolska żółtą, amerykańska miedzianą, etyopska czarną, a malajska brunatną. Murzyni mają przytem włos czarny kędzierzawy, u innych zaś ras kolor włosów jest mniej więcej jasny i brunatny.

Mimo tej różnicy ras, nie można twierdzić, jakoby wszyscy ludzie nie byli potomkami jednych rodziców. Przeciwnie, między ludami różnych ras, oddalonych nawet bardzo daleko od siebie, widać wiele podobnych cech, wskazujących, że pochodzenie ich jest wspólne od jednej rodziny.

* * *

Nie jest atoli celem tej rozprawki udowodnienie pochodzenia wszystkich ludzi od jednych rodziców, nam chodzi tylko o dawność rodzaju ludzkiego, — więc wracając do tej sprawy zastanowimy się dalej nad wykopaliskami kości ludzkich, które znaleść miano we wnętrzu ziemi, a które mają niby dowodzić, że człowiek żył dawno przed czasem, który Biblia dla Adama i Ewy przeznacza, to jest na tysiące i milony lat przed Adamem.

To jednak twierdzenie nie jest niczem ugruntowane. W Kalifornii znaleziono w roku 1867 czaszkę, która miała pochodzić niby z epoki przed Adamem, tymczasem wkrótce przekonano się, że się miało do czynienia z oszustwem. Kongres antropologiczny (to jest zajmujący się człowiekiem) w Lizbonie w roku 1880 stwierdził, że w warstwach ziemi, w tak zwanej formacyi trzeciorzędnej (to jest dawno przed czasami Adama), nie znaleziono nigdzie ani kości ludzkich, ani nic takiego, z czegoby można wnosić o istnieniu ludzi w tych czasach prastarych.

Niektórzy uczeni twiedzą dalej, że istniały epoki: kamienna i bronzowa, czyli czasy, w których ludzie używali najpierw kamiennych narzędzi do potrzeb życia codziennego, a później dopiero żelaznych.

Dla epoki kamiennej przeznaczają owi uczeni 40 wieków. Najnowsze atoli badania obalają to twierdzenie. Nie było według tych badań żadnych osobnych ściśle odgraniczonych epok, bo metale i ich użycie znane były od kolebki ludzkości, a mimo to posługiwano się kamieniem.

Stwierdzono, że kamień, bronz i żelazo były w użyciu równocześnie. Wszak i obecnie używamy jeszcze kamiennych i bronzowych sprzętów i narzędzi. Egipcyanie używali kamiennych naczyń aż do najnowszych czasów. Assyryjczykom i Chińczykom znane było żelazo od najdawniejszych wieków, tak samo znali je mniej cywilizowani negrowie (murzyni) afrykańscy.

Wprawdzie pierwsi europejscy mieszkańcy używali wyłącznie sprzętów z kamienia i kości, ale to tylko dlatego, bo w długiej wędrówce z Azyi z braku materyału zapomnieli sposobu obrabiania metali, a ztąd nawet w V. wieku przed Chrystusem używano jeszcze w Europie bardzo prymitywnych naczyń kamiennych, jak o tem świadczą wykopaliska z grobów tej epoki, podczas, gdy w tymże samym czasie w Azyi znano już dobrze wyroby z bronzu i żelaza. W rzymskiej strzelnicy, w Moguncyi, znaleziono sprzęty kamienne, choć Rzymianie znali się dobrze z różnymi metalami.

Według Virchowa u ludów starożytnych tylko książęta i wodzowie mieli broń kruszcową, wojownicy zaś szeregowi posiadali broń kamienną lub z kości.

Nie można więc z naczyń kamiennych wnosić o zbytniej starożytności rodzaju ludzkiego.

Jeszcze jeden argument przytaczają niektórzy na dowód, że ród ludzki istnieje bardzo dawno, to jest od dawniejszych czasów, niż to określa Biblia — mianowicie, że ludzie żyli równocześnie z pewnemi gatunkami zwierząt, które dawno już wyginęły.

Ale i to nie dowodzi niczego. W czasach już historycznych, czyli odkąd już mamy pewniejszą historyę ziemi

i człowieka, wygasło mniej więcej 40 gatunków ptaków i zwierząt.

Wódz i historyk rzymski Cezar wspomina, że w lasach teutońskich (niemieckich) żył renifer, którego dziś można spotkać zaledwie na dalekiej bardzo północy. Niedźwiedź, bóbr, ryś, niegdyś powszechne w całej Europie, dziś tylko w północnych okolicach się trafiają, a lwy, według zgodnych doniesień rzymskich i greckich pisarzy, grasowały w Grecyi i w Małej Azyi i dopiero w II. wieku po Chrystusie z Europy zniknęły.

Słoń i nosorożec zamieszkiwały północną Afrykę jeszcze za czasów Chrystusa Pana, później cofnęły się dalej na południe. Z tego więc wypływa, że z równoczesności człowieka z wymarłymi gatunkami zwierząt nie można wnioskować o istnieniu rodzaju ludzkiego.

W roku 1807 znaleziono na Syberyi przy ujściu rzeki Leny w bryle lodu doskonale zachowanego mamuta, na którym utrzymały się jeszcze włosy i grzywa na karku.

Naturalista Fraes pisze: czas, w którym renifer, mamut i niedźwiedź jaskiniowy w Szwabii żyły, a człowiek się tam osiedlił, przypada mniej więcej na czas rozkwitu państwa babilońskiego, albo na okres budowy piramid egipskich, a więc na 3.000 do 4,000 lat przed Chrystusem, a nie na setki tysięcy lub miliony lat.

Inny uczony niemiecki stwierdza, że gdy renifer żył jeszcze na wyżynach południowej Europy, które z powodu bliskości lodowców były zimne, to równocześnie na dolinach pasły się mamuty, a lasy rozbrzmiewały rykiem zwierząt jaskiniowych.

Nie było zaś to tak dawno, bo gdy kolonie Fenicyan były w największym rozkwicie przed dwoma tysiącami lat, na wyżynach Hiszpanii, upędzali myśliwi za reniferami. A w tymże samym czasie, gdy żeglarze feniccy zdążali na morze Bałtyckie po bursztyn, mieszkańcy nadbrzeźni zbroili się jeszcze w kamień i kości.

Nie były zaś to wcale jakieś czasy przedhisoryczne, ale — jak wyżej wspomnieliśmy — czasy na kilkaset lat przed Chrystusem.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*

# MYŚLI...

Ojczyzna naszą matką, a myśmy jej dzieci;
Złem dzieckiem, w kim ta matka miłości nie wznieci.

*
* *

Klniesz wrogów, że ci ciało ojczyzny zranili;
Ty jej ducha złem życiem ranisz każdej chwili.

*
* *

Mogą ciało ojczyzny pociąć wrogów noże,
Ale duch chyba tylko sam siebie struć może.

*
* *

My z sobą gwarzym, czas skrzydło-płochy.
I słowa goni i chwile powiewne.

*
* *

Znajdziesz tysiąc pochlebców w pośrodku wesela,
Zła chwila prawdziwego wskaże przyjaciela.

*
* *

Gdy się wątek urwie, każdy co ci sprzyjał,
Będzie twój dom, choć sucho, z daleka omijał.

*
* *

Kto chce czego dokazać, a widzi, że trudno,
Niech tylko wdzieje na się postawę obłudną.

*
* *

Patrzę na dziś, bo któż zgadnie,
Jaka mi kość jutro padnie?

---

# Zwyczaje przy zawieraniu związków małżeńskich u rozmaitych dzikich ludów.

Związki małżeńskie zawierane bywają u rozmaitych dzikich ludów ze wzajemnej miłości, albo wyborem ze

strony mężczyzny, albo przez kupno lub najczęściej przez pośrednictwo rodziców.

Związek małżeński z wolnego wyboru i wzajemnej miłości jest najodpowiedniejszy i znajdujemy go zarówno u narodów cywilizowanych, jak i ludów dzikich.

U Murzynów Loango młody człowiek winien zdobyć sobie przychylność dziewczyny — gdyż bez jej przyzwolenia nic nie znaczą ani wielkie bogactwa, ani przemoc rodziców. Małżeństwo u tego narodu zostaje dopiero po 7 dobach próby utrwalone.

U Dajaków Sinamban stara się konkurent bardzo poetycznie o rękę ukochanej Nie odstępuje jej, pomaga jej w pracy i zarzuca ją podarkami. Gdy się spodziewa z jej strony cokolwiek miłości, zakrada się nocą do jej chaty, budzi ją i częstuje przysmaczkami. Jeśli dziewczyna nie przyjmie przysmaczków lub o zapalenie światła poprosi, to konkurent winien odejść.

U Eskimosów młody człowiek prosi matkę o rękę córki, a gdy otrzymuje przyzwolenie, posyła dziewczynie nową suknię, którą, gdy się przyodzieje, małżeństwo bywa zawarte.

W Abisynii zaręczyny odbywają się w bardzo młodym wieku, lecz od dnia uroczystości narzeczeni nie powinni się widywać. W Tigra ten przepis jest tak surowym, że narzeczona od tego dnia nie może opuszczać domu ojca przed obawą, aby przez węża nie została pożarta.

U Czukorów małżeństwo zawiera się prawie zawsze za pośrednictwem rodziców, a gdy narzeczony ma lat czternaście lub piętnaście, a narzeczona jedynasty lub dwunasty, już łączą się razem.

Zaręczyny u Hererów, z którymi Niemcy mieli przed kilku laty tyle kłopotów, są bardzo ciekawe. Liczba kobiet jest tam mniejszą, niż mężczyzn, to też ojcowie, obdarzeni córkami na wydaniu, pysznią się z tego, jak gdzieindziej matki posiadające dużo synów do ożenku. Zazwyczaj Hereros pojmuje tylko jednę żonę, bo większa ich liczba pociąga za sobą znaczne wydatki.

Przy zawieraniu związków małżeńskich granica wieku dla mężczyzn jest różna, gdyż muszą oni naprzód zdobyć pewną zamożność, aby módz ponieść koszta wesela, oraz

utrzymania dla żony i przyszłej rodziny. Co zaś do dziewcząt, bywają zaręczane niemal w kolebce, a poślubiane najpóźniej w 14 do 15 roku życia.

Małżeństwa zawierane są nieraz w bliskiej rodzinie, pomiędzy dziećmi brata i siostry; nie wolno jednak łączyć się dzieciom dwóch braci lub dwóch sióstr. Jako podarek zaręczynowy otrzymuje oblubienica żelazną perłę, zawieszoną na rzemieniu. Narzeczonemu nie wolno widzieć narzeczonej do dnia zaślubin; widują się jednak potajemnie od dnia zaręczyn, o ile dziewczyna nie jest w wieku niemowlęcym, ułatwia im to nawet matka, wskazując miejsce, gdzie mogą się spotkać.

Na swoje gody oblubieniec powinien ofiarować tłustego wołu, albo owcę z jagnięciem. Ojciec panny młodej zabija dziesięć wołów. Ucztowanie trwa dopóty, dopóki goście wszystkiego nie zjedzą. Przez ten czas oblubienica musi podlegać rozmaitym, niezbyt miłym obrządkom; między innemi bywa smarowana na twarzy tłuszczem wołowym i musi tak chodzić, aż do chwili, gdy ją oddzadzą w ręce oblubieńca. Wtedy ją dopiero obmywają i nakładają czepek, którego nie ma prawa nigdy zdejmować

Panna młoda idzie za mężem do jego domostwa, a to w ten sposób, że kroczy za nim z tyłu, przyczepiona do rzemienia, jak pies. Wedle zwyczaju, powinna przytem płakać, wzdychać, głośno zawodzić i próbować ucieczki. Często jednak nie są to czcze formy, ale rzeczywista rozpacz młodej dziewczyny, oddawanej nieraz starcowi

U Hotentotów jest przyzwolenie dziewczyny sprawą podrzędną. Konkurent zwraca się głównie do ojca lub jego zastępcy, a w razie gdy dziewczyna odrzuci konkurenta, może odzyskać swobodę, lecz tylko pod warunkiem, że od zachodu do wchodu słońca będzie się bronić swemu konkurentowi, używając do tego naturalnego oręża, jak pięści paznogci i zębów.

U Australczyków z zachodniego obwodu Wiktoryi dobierają zawsze rodzice małżeństwa, przyczem nieraz opór to ze strony córki lub syna się znajduje. Również młodzi ludzie z rozmaitych szczepów mogą sobie darowywać siostry lub kuzynki bez przyzwolenia tychże. Jeżeli zaś małżeństwo jest bezdzietnem, to może być rozwiąza-

nem. Kobieta powraca do domu i może znowu wyjść za mąż. Jeżeli z kobietą mężczyzna źle się obchodzi, to może ona udać się pod opiekę innego z zamiarem zostania jego żoną, a jeżeli ten zostaje w walce z opuszczonym mężem zwycięzcą, to staje się prawowitym małżonkiem zdobytej kobiety.

Na Sumatrze musi sobie każdy mężczyzna żonę od rodziców kupić i to za cenę dość wysoką w stosunku do piękności dziewczyny, dla tego też wiele dziewczyn zostaje staremi pannami, a wielu młodzieńców starymi kawalerami. Obrząd ich weselny polega na tem, że mężczyzna opiera swe lewe kolano na kolonach kobiety. W wypadku śmierci męża przechodzi żona w posiadanie najstarszego z jego żyjących braci.

W Ameryce północnej w ogólności małżeństwa kojarzą rodzice, a narzeczeni przyjmują układ nawet wtedy jeżeli się nie kochali poprzednio, lub jeżeli się nawet poprzednio nie znali. Wiedzą o tem, że łatwo mogą się rozłączyć, jeżeli nie będą szczęśliwi.

Kontrakt małżeński zawiera się u szczepu Irokezów przez dwa placki z kukurydzy, które narzeczona składa teściowej, przeznaczając je wszakże dla męża, za co otrzymuje w zamian sztukę zwierzyny.

W Nowej Zelandyi, gdy się zdarzy, że dwaj jednakowo wybitni młodzi ludzie zakochają się w jednej dziewicy, wówczas rodzice radzą obydwom, aby zakończyli spór przemocą i obaj się starają zawlec ją do swego domu, a każdy z nich ciągnie ją za rękę w swoją stronę. Zwycięzca zatrzymuje ją dla siebie, lecz często ręce pożałowania godnej dziewczynie wychodzą ze stawów, poczem leży chora i małżeństwa jej się odechce.

# Kryteczne lata życia ludzkiego.

»Nasze życie trwa 70 lat, a jeśli ma być długiem, to dochodzi do 80 lat«, taką zasadę znajdujemy wypowiedzianą w psalmach. Historya i statystyka stwierdzają bardzo dokładnie jej prawdziwość. Według tej ostatniej prze-

ciętna długość życia ludzkiego w poszczególnych państwach wynosi: w Belgii 67 lat, w Holandyi, Niemczech i Szwajcaryi 70 lat, w Anglii i Szwecyi 72 lat, we Francyi 73, a w Norwegii 74. Cyfry te odnoszą się do wieku mężczyzn. Kobiety żyją w tych krajach troszkę dłużej.

Normalna granica życia ludzkiego da się więc prawie na pewno oznaczyć i utrzymuje się mniej więcej stale w jednakiej wysokości. Przeciwnie tak zwany wiek przeciętny czyli średni zmienia się stale i to bardzo. Przed 50 ciu laty oznaczano nim zwykle 30-ty rok życia, obecnie podniósł się on na 35 do 40-tu lat. Podniesienie to granicy wieku średniego wynikło z tego, że umiejętność lekarska i opieka nad niemowlętami zmniejszyła znacznie wśród nich śmiertelność.

Aby wyrównać różnice, jakie zachodzą między granicą wieku średniego, a granicą starości, a tem samem uzyskać dokładne cyfry do oznaczenia długości życia ludzkiego, starali się antropologowie, czyli badacze naukowi ludzi i ich rozwoju zebrać dokładne cyfry statystyczne o śmiertelności u poszczególnych narodów. Z zestawienia cyfr tych wynikło, że w życiu człowieka są lata dobre i złe, w jednych życie nasze rozwija się doskonale w innych znowu stoimy nieledwie nad przepaścią, w którą każdej chwili los życia strącić nas może.

Są więc w życiu człowieka tak zwane lata krytyczne. Jako takie uznano 1, 16, 32 i 54 rok życia.

Największy procent śmiertelności przypada na pierwszy rok życia. Jest on rokiem krytycznym pierwszego rzędu. Niektórzy upatrują w tem wszechwładztwo zasady naturalnego doboru, to znaczy, że to co słabe fizycznie ginie samo przez się, przy życiu zaś zostają tylko natury zdrowe i silne, króre wzmacniają i rozwijają rasę ludzką. Twierdzenie to nie całkiem jednak jest uzasadnione, gdyż obecnie nieraz lekarzowi udaje się przez umiejętne pielęgnowanie i karmienie utrzymać przy życiu bardzo słabo fizycznie rozwięte dzieci, które później wyrastają na dzielnych ludzi. A nowoczesna hygiena społeczna prowadzi obecnie bardzo skuteczną walkę ze straszną śmiertelnością wśród niemowląt.

Życie ludzkie w pierwszych latach najwięcej narażone jest na niebezpieczeństwa. Następnie jednak siła życia wzrasta gwałtownie i rozwija się. Dopiero rok 16-ty życia jest znowu rokiem krytycznym, lecz tylko drugiego stopnia. Od tego roku rozpoczyna się wzrost procentowy śmiertelności aż do następnej granicy krytycznej pierwszego stopnia, to jest do roku 32. Skoro uda nam się szczęśliwie ten okres życia przebyć, mamy przed sobą szereg lat spokojnych i wesołych. Siła życiowa dochodzi w nas do szczytu w swym rozwoju.

Od 54-go roku życia zaczyna się znowu niebezpieczeństwo śmierci gwałtownie wzmagać. Ten rok i kilka następnych stanowią czas zwrotny w życiu ludzkiem.

Najwięcej tu staje cmentarnych krzyżów. W miarę wzrostu ilości lat rosną szybko świeże mogiły. Dopiero w roku 82-gim śmiertelność znacznie spada, może jednak dlatego tylko, iż mało jest takich, którzy tego wieku dożyją.

Rzecz prosta, że cyfry te i uwagi są tylko ogólnej natury i stawiają ogólne tylko zasady. Są życia ludzkie, które nie stosują się do tych prawideł, ale to są wyjątki, które bynajmniej nie osłabiają wydobytych na podstawie statystyki zasad.

Krytyczne lata 1, 16, 32 i 54 dzielą życie ludzie bardzo dokładnie na cztery części o określonym zupełnie rozwoju. Do 15-go roku trwa dzieciństwo, czas złoty, gdzie życie płynie z rozmachem i coraz szerszym potokiem.

Od 15-go do 32 roku trwa młodość, lecz ta zwykle... wiele grzeszy. To też jej lata są złe, niebezpieczne i bardzo krytyczne.

Czas od roku 32-go do 54-o to czas dojrzałości życiowej. Życie domowe obejmuje duszę mężczyzny i kobiety. Namiętności słabną i utrzymują się w pewnych granicach. To też statystyka nazywa te lata szczęśliwym okresem.

Od roku 54-go rozpoczyna się starość. Dla wielu ma ona tylko cienie. Ludzie tetryczeją, stają się niezadowoleni z siebie i drugich. Są jednak i tacy, dla których starość jest również czerstwą, jak i poprzednie życie. Ci dociągają

późnych lat, a wesołym swym umysłem przewyższają nieraz młodych, którzy zbyt prędko swe życie przeżyli.

Ostatecznie przysłowie powiada, że »każdy jest twórcą swego losu«. Życie niezmarnowane przedwcześnie bywa silne, zdrowe i długie. Życie zbyt ciężko przeżyte, pełne żądz i namiętności zjada siły człowieka i otwiera mu wczesny grób.

# Dawne kary na oszukańczych przekupniów.

Biedni ludziska, którzy muszą udawać się na targ po zakupno wszelkich wiktuałów, są ustawicznie narażeni na oszukanie ze strony handlarzy, którzy sprzedają im za drogie pieniądze złe artykuły spożywcze, jak zepsute jaja, rozwodnione i mąką zaprawione mleko i śmietanę, fałszowane masło i t. p. Skargi takie słyszymy niemal codziennie...

Oszukaństwa przekupniów nie są jednak wymysłem naszych dni, lecz skargi na nie powtarzały się już za owych starych dobrych czasów. Już w roku 1481 wnieśli mieszkańcy francuskiego miasteczka Ambert skargę do władz, aby pociągnęły do odpowiedzialności oszukańców i w ten sposób położyły kres awanturom i bójkom, jakie wskutek tego wywiązują się między obywatelami, a przekupniami. Wówczas władze wydały następujące rozporządzenie:

Każda przekupka, która sprzedaje rozwodnione mleko, ukarana zostanie w ten sposób, że włoży się jej lejek w usta i będzie się w nią lać mleko w takiej ilości, jaką według orzeczenia lekarza wytrzyma bez niebezpieczeństwa dla życia.

Każdy przekupień, który sprzedając masło, wkłada do niego ziemniaki, kamyki i t. p., aby zyskało na wadze, zostanie publicznie przywiązany do pala. Następnie położy się mu na głowę kawał masła, które tak długo będzie ogrzewane promieniami słońca, aż się rozpłynie, wówczas publiczność może przyprowadzić psy, aby się rozkoszowały tem spływającem masłem. W czasie niepogody roznieci się

obok pala ogień, który ma spełniać taką funkcyę, jak w powyższym wypadku słońce.

Każdy handlarz, sprzedający zepsute jaja, będzie postawiony pod pręgierzem, a zepsutemi jajami mogą sobie dzieci dla zabawki rzucać na twarz i odzienie delikwenta... Takie to były przepisy za onych dawnych, dobrych czasów. I dzisiaj przydałyby się one bardzo.

# Słońce domu rodzinnego.

Kto niem jest? Dobra, pobożna i mądra matka. Ona to jest słońcem domu rodzinnego. Pokój i zgoda panuje w rodzinie, w której rządzi taka matka. Dzieci rosną i rozwijają się pięknie, jak kwiaty w rosie niebieskiej. Zbawienną bojaźń Pańską i szczere zamiłowanie dobrego wpaja pobożna, cnotliwa matka w ich serca wrażliwe.

Czem jest taka matka dla swych dzieci, mówi o tem wielu sławnych ludzi. I tak wielki cesarz Francuzów, Napoleon I., tak się wyraził o swej matce Letycyi: »Mojej matce i jej zasadom zawdzięczam moje powodzenie i wszystko co uczyniłem dobrego«.

Letycya była głęboko religijną, wielkoduszną kobietą, pełną surowego poczucia obowiązku, matką ubogich, chrześcijanką, nie unoszącą się z pychą w szczęściu i nie upadającą w nieszczęściu. Na swem wygnaniu na wyspie świętej Heleny opowiadał Napoleon o swojej matce: »Moja matka posiadała wielki charakter, siłę ducha, wiele podniosłości i dumy. Czuwała ona z niezrównaną troskliwością nad pierwszemi wrażeniami dzieci. Niskie uczucia usuwała, obrzydzała i dozwalała przystępu do serc ich tylko temu, co było wielkie i szlachetne. Miała wstręt do kłamstwa, jak do wszystkiego, co tylko miało pozór niższego uczucia. Umiała karać i wynagradzać i śledziła wszystko bacznie u swoich dzieci«.

Znany założyciel niemieckich towarzystw katolickiej czeladzi ksiądz Kolping, zwrócił się pewnego razu do matek: »Wiecie, matki — rzekł — co mię utrzymało wśród wielkiego zepsucia? Miałem biedną matkę, ale matkę, u któ-

rej nie widziałem i nie słyszałem nic, czegobym nie był musiał szanować. A gdy pokusa zbliżała się do mnie, wtenczas pomyślałem o mojej matce, a kusiciel pierzchnął odemnie. Odkąd umarła, tem większego jeszcze dla niej nabrałem szacunku, wtenczas dopiero jasno poznałem, co mam do zawdzięczenia jej modlitwie. Tej modlitwie zawdzięczam, że stoję tu dzisiaj i że nie zginąłem wśród niebezpieczeństw, które mię otaczały, a jej modlitwa także dopomoże mi do szerzenia czci Boga wedle słabych sił moich«.

Gdybyż to wszystkie matki tak żyły i postępowały, aby dzieci ich mogły to samo powiedzieć o nich!

# Z życia żaków krakowskich.

W mrocznym, sklepionym korytarzu, na którego końcu słabo widnieje wązkie zakratowane okienko, stoi czternastoletni wyrostek z miną wielce zafrasowaną. Wprawdzie został już zapisany do ksiąg Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, a rektor już go zaliczył w poczet uczniów, wprawdzie ma nawet na sobie strój żaków — długą kapotę sukienną z kształtu do sutanny podobną, a z której na plecy zwiesza się wielka »kapuca«, ma na nogach trepki, jakby był zakonnikiem, u pasa przywiązany kałamarz, a w ręku seksterna, a jednak czuje się bardzo nieswój i opuszczony. Dokoła niego, po korytarzu bursy, w której będzie miał wraz z innymi mieszkanie, wciąż przebiegają chłopcy więksi i mniejsi, a żaden nie minie go bez zaczepki.

»Beanus, beanus« — wołają na rozmaite tony, jeden wybucha śmiechem pogardliwym, drugi naśladuje beczenie kozy, a biedny nowicyusz zmieszany, zaczerwieniony, ze łzami w oczach, sam nie wie gdzie się obrócić i co z soba zrobić.

Wie wprawdzie, że się to wszystko dzisiaj skończy, ale przedtem czeka go taka okrutna przeprawa, że wolałby już może do końca życia znosić zaczepki, niż jej się poddać... Ale rady niema! Oto obskoczyła go gromada

kolegów i wszyscy razem wynurzają się z ciemnych i chłodnych murów w wąską uliczkę, nad którą błękitnieje rąbek czystego lazuru — a stamtąd ciągną jeszcze dalej, za miasto, na świat Boży, zalany blaskami sierpniowego słońca, na błonia, skąd widać groźny zamek królewski i kupiące się ciasno u stóp jego domostwa, ponad które wystrzelają smukłe wieżyce kościołów gotyckich. Wszystko to opasane murem i fosą, jak klamrami spięte bramami warownemi i ozdobione szlakiem srebrzysto-dyamentowej Wisły.

Tam dopiero, daleko od murów szkolnych, miały się odbywać tak zwane »otrzęsiny« nowego kolegi, czyli »beana«. Ile taki biedny chłopak wytrzymać musiał, to i uwierzyć trudno. Związywano go sznurami, bito, udawano na nim piłowanie i heblowanie, kazano mu pisać z kałamarza, w którym niepodobna było umoczyć pióra, bo otworu wcale nie miał, potem w głos się naigrawano, że to taki student, co kałamarza otworzyć nie umie, — czesano go zgrzebłem, myto błotem, a ścierkami obcierano — wszystko wśród nieustannych żartów, dokuczań, przycinków. A biada mu, jeśli się sprzeczał, gniewał, albo, co gorzej, zlitowania prosił. Zato czekałyby go tylko dwa razy dłuższe męczarnie. Jeśli przeciwnie, zachował się z godnością, miał już zapewnioną życzliwość kolegów; trzeba było jeszcze cierpliwie znieść ostatnią próbę najgorszą, bo już nie fizyczną, ale moralną: wysłuchać czytanego głośno listu, nibyto od mamusi, która desperuje, że jej pieszczoszek, benjaminek, cukiereczek znosi od swych kolegów takie udręczenia! Od chwili jednak, gdy się to skończyło, »beanus« stawał się już »żakiem« prawdziwym, i mógł być pewien, że w razie czego wszyscy koledzy staną za nim, jak jeden mąż.

Tak zaczynał dawny uczeń życie szkolne, z wielu względów różne od dzisiejszego. Taki słuchacz uniwersytetu (coprawda młodszy daleko od dzisiejszego) mniej miał swobody od teraźniejszych gimnazyastów. Suknie nosił prawie że duchowne, jak seminarzysta, mieszkał w bursie pod nadzorem profesorów i bakałarzy, tam się stołował, tam lekcye odrabiał, i za najlżejsze wykroczenie przeciw regule, za wałęsanie się po mieście i t. p, karany bywał srodze rózgami, kozą, albo grzywną pieniężną. Jedyny wyjątek stanowiły otrzęsiny beanów, na które władze unwersyteckie

pozwalać musiały, gdyż byl to zwyczaj powszechny, praktykowany wówczas w szkołach całego świata. Na chlubę Ojczyzny naszej powiedzieć możemy, że uniwersytet krakowski, pierwszy w całej Europie skasował ten zwyczaj: u nas najwcześniej przestano się znęcać nad biednymi, bezbronnymi chłopcami, którzy takie otrzęsiny nieraz mogli zdrowiem przypłacić.

Ale studencik taki, jeśli tylko miał rodziców nieco zamożniejszych, stołował się w bursie, w której mieszkał — jeśli zaś nie było komu płacić za niego, musiał w wolnych chwilach od nauki służyć poprostu w jakimś domu, a gdy mu głód dokuczył, wędrował z koszykiem po swojej parafii, zbierając, co kto dać łaskaw. Takie gromadki »żaków« żebrzących, widywać można było zawsze na ulicach Krakowa, a wstydzić się swego ubóstwa nie potrzebowali; przeciwnie żaczek choć biedny, ale wesoły, zawsze z piosenką na ustach, zawsze mile uśmiechnięty, wszędzie bywał chętnie widziany.

Gdy mu się więc przypadkiem zdarzyło grosz jaki zaoszczędzić, starał się natychmiast o kupienie jakiejkolwiek broni, bo to była rzecz honoru studeckiego, jakkolwiek władze nie bardzo chętnie to widziały i tylko patrzyły przez palce. Bogatszy żak mógł sobie sprawić łuk, miecz albo szablę, biedacy chwytali, co się nadarzyło. Kiedyś student Godaczewski spostrzegłszy na ulicy dwóch jakichś ludzi niosących łuk i miecz, zaczął się z nimi targować i po chwili udało mu się wyhandlować to za starą kapotę. Uszczęliwiony, tryumfujący wraca do bursy, rad, że się nareszcie przed kolegami pochwali, ale oto zanim wieczór zapadł, czekała go wielka konfuzya. Broń była kradziona i pan student musiał przed sądem stawać ze złodziejami. Nie dosyć na tem, sprawa oczywiście doszła do rektora, przed którego obliczem musiał się zjawić strapiony Godaczewski. Wyszło na jaw przehandlowanie munduru na broń, zdaje się, że rozciągano na ziemi kobierzec!...

Uniwersytet łaciński, gdzie uczono i mówiono po łacinie, był w owych czasach jakby wspólną macierzą, (*alma mater)* do której garnęła się młodzież rozmaitych »nacyi«. U nas w Krakowie często gęsto napotkać można hyło butne postaci Węgrów, których mimo młodego wieku bujny

już, czarny wąsik ocieniał wargę, a zuchwalstwo z oczu patrzyło, który przy lada okazyi albo i bez okazyi, ze wszystkimi się bili i wiecznie też wzywani byli dokoła, bo ich młodzi Polacy nieraz z upodobaniem turbowali, nie przepuszczając najmniejszej drobnostki, nawet przypadkowego potrącenia we drzwiach.

Ale i wśród »nacyi« polskiej bywały czasem drobne zajścia. Powodowali je głównie swawolni, a buńczuczni Litwini. Znać, że niezbyt odległe były jeszcze czasy, kiedy ich przodkowie w dzikich pogańskich obyczajach borykali się z żubrami w głębi kniei, lub do tychże samych kniei się chronili przed okrucieństwem Krzyżaków. Co chwila wzywać musiał rektor do siebie tego lub innego zawadyakę Litwina, co choć się uczył dobrze, ale kolegom spokoju nie dawał. Najczęściej zaś ofiarą figlów padali łagodni dobroduszni Mazurzy.

Gdy w pozaszkolnych godzinach przepowiadano sobie lekcye w bursie, bakałarz wciąż musiał do porządku przyprowadzać swawolników, którzy zakradając się przez korytarz pod drzwi izby, gdzie mieszkał kolega z Mazowsza, zaczynali akcent mazurski przedrzeźniać; albo znów zaczepiając Mazura, który, chodząc tam i napowrót pilnie sobie przepowiadał lekcye, pytali z obłudną miną o wskazówki z historyi Kościoła, »czy to Judasz czy inny jaki Apostoł wysłany był do nawracania Mazurów?«.

Święta Bożego Narodzenia ze swemi kolędami i święta Wielkanocne dawały pole żakom do rozmaitych popisów i rozrywek.

W Kwietnią Niedzielę, pod bladem niebem wiosennem gromadziły się tłumy wszelakiej publiczności na placu Dominikańskim, gdzie młodzież uniwersytecka miała odegrać całą historyę Męki Pańskiej. Na wzniesionej umyślnie w tym celu estradzie jawili się istotnie w szatach powłóczystych Apostołowie ze świetnie przyprawionemi brodami, rzymcy żołnierze. Żydzi w otoczeniu mnóstwa aniołów i dyabłów i postaci symbolicznych, przedstawiający Grzechy, Cnoty Rozpacz, Smutek, Pobożność i t. p. Wszystko to deklamowało wiersze przez samychże studentów ułożone i odgrywało całe sceny, jak gdyby w teatrze. Taki teatr pobożny trwał w Wielkim Tygodniu, jeśli pogoda sprzyjała,

przez parę dni z rzędu gromadząc zawsze tłumy widzów i nosił nazwę łacińską *misterium.*

W taki to sposób żyli, uczyli się zabawiali i słuchacze akademii Jagiellońskiej, w owym złotym wieku historyi polskiej, kiedy naród nasz przyświecał całej Europie. I wtedy akademia krakowska liczyła między profesorami swymi mężów, których imiona na zawsze pozostały zapisane w historyi i kształciła uczniów, którzy jej chlubę przynoszą odtąd przez wieki całe.

# TO I OWO.

## Ważna sprawa.

Stwierdzono, że liczba żydów na świecie coraz więcej wzrasta, a to głównie dlatego, że śmiertelność niemowląt u żydów jest daleko mniejsza, niż u chrześcijan.

Dlatego należy koniecznie i jak najrychlej powstrzymać olbrzymią śmiertelność niemowląt i dzieci chrześcijańskich po wsiach i w miastach naszych, a to przez lepszą o nich troskę oraz przez podniesienie warunków zdrowotnych u naszego ludu. Żydzi daleko więcej dbają o zdrowie dzieci, więc z tej przyczyny liczba żydów ciągle wzrasta — z czego dla nas powstaje coraz większe niebezpieczeństwo naszej zagłady.

## Gmach „Equitable".

Pałac Towarzystwa asekuracyjnego »Equitable« znajdujący się na Broadway w Nowym Jorku, a zniszczony niedawno przez olbrzymi pożar, nie należy właściwie do tak zwanych »drapaczy nieba«. Wysokość jego wynosi ponad 70 metrów, co wedle naszych pojęć, jest czemś ogromnem, ale w Ameryce należy do rzeczy zwyczajnych. W ostatnich czasach zaczęto budować w Nowym Jorku gmachy, dochodzące do 200 metrów wysokości. Nowojorski budynek »Equitable« jest zupełnie podobny do gmachów filialnych w Berlinie i w Wiedniu. Jest to imponująca budowla reklamowa, przeładowana marmurem.

Nowojorski gmach został wzniesiony przed laty przeszło 20 i położony jest na dolnem Broadway w City miasta, pomiędzy ulicami (street) Pine i Cedar. Na parterze znajduje się olbrzymia hala mająca ściany i posadzkę z marmuru. Ta hala tworzy sama w sobie jakby małe miasto. Tutaj mieści się restauracya, bar, trafika, księgarnie i agencye dzienników, tudzież liczne biura telegraficzne i telefoniczne. W środku hali znajduje się 12 wind, tworzących koło. Sześć wind służy do ruchu »lokalnego« sześć do ruchu »ekspresowego« dla 16 piętr. Lokalne windy zatrzymują się się na każdem piętrze, ekspresowe wznoszą się od razu na ósme piętro i dopiero od niego mają na każdem piętrze przystanek. Ruch wind, wszystkich wentylatorów, tudzież oświetlenie, odbywa się przy pomocy osobnej elektrowni.

Towarzystwo ubezpieczeń »Equitable« nie zajmuje wszystkich ubikacyj — wystarczają mu trzy piętra. Reszta, 13 piętr, wynajęta jest rozmaitym towarzystwom finansowym, obok których mieszka tam i ma swoje biura, względnie pracownie, około 50-ciu adwokatów, kilkudziesięciu agentów handlowych, lekarzy, dentystów i t. d. Kogo nie stać na pomieszkanie, ten wynajmuje sobie stół («desk«) we wspólnym pokoju. Niejeden miloner rozpoczął swoją karyerę od takiego »desku«. Wogóle przebywało w tym gmachu w porze dziennej około 3 000 ludzi.

## Środki niszczące zarazki.

Do środków niszczących zarazki chorobotwórcze, należą: ogień, para, woda i różne gazy trujące. Nie wszystkie jednakże dadzą się wszędzie użyć i zastosować do każdego przedmiotu, a tem mniej do osób.

Najprzystępniejszym zaś środkiem desinfekcyjnym jest wapno i karbol. Wapno zwykłe (gaszone) rozpuszczone w wodzie tak, aby stanowiło w niej pięć procent, czyli na sto listów wody pięć litrów wapna — jest znakomitym środkiem desinfekcyjnym, a do tego bardzo tanim. Gdy więc chodzi o dysinfekcyę ścian, podług, sufitów, najlepiej użyć bielenia. Również gdy chodzi o wygubienie zarazków w odchodach i wymiocinach ludzi chorych, zaleca się po-

lewanie ich takiem wapnem. A trzeba pamiętać, że właśnie choroby i wymiociny ludzi, dotkniętych jakąbądź chorobą zaraźliwą, są najniebezpieczniejsze, gdyż najwięcej mają w sobie zarazków.

Kwas karbolowy wyrabia się ze smoły węgla kamiennego przy bardzo wielkiem gorącu. Jest to silna trucizna. Pali, niszczy wszystko, dlatego używając go, trzeba bardzo uważać. Zwykle w aptekach kupuje się kwas karbolowy już rozpuszczony, ale jeszcze silny i niebezpieczny do zwykłego użycia, n. p. do umycia rąk. Należy go tedy wpierw rozcieńczyć wodą stosownie do jego siły, o czem pouczyć winien aptekarz.

W razie pojawienia się jakiej choroby zaraźliwej, n. p. dyfteryi, szkarlatyny, tyfusu, a tembardziej cholery, kwas karbolowy powinien być w każdym domu. Nie powinno się nic brać do ust, nie obmywszy sobie wpierw rąk w rozcieńczonym kwasie karbolowym. Tem więcej przestrzegać tego winni ci, którzy chodzą około chorych.

## Co kosztują zawieje śnieżne?

Mokre lato sprowadza bez kwestyi wielkie straty, zwłaszcza dla rolników; niepogoda w zimie pochłania również sumy olbrzymie. Deszcz, śnieg i mgła są to rzeczy bardzo kosztowne, ale śnieg przecież z pośród nich najdrożej kosztuje. W wielu robotach powoduje zastój. Niezliczeni robotnicy tracą zajęcie, zwłaszcza przy budownictwie. I w dokach robota ustaje; obliczono że robotnicy londyńscy pracujący u brzegów Tamizy, tracą 650.000 koron jeśli nie pracują przez jeden dzień. Oceniają dalej, że jeśli ludzie z powodu śnieżycy nie wychodzą z domu, to w ciągu jednego dnia tracą kupcy w Londynie 600 000 koron, biedni przekupnie uliczni 80.000 koron, a teatry sprzedają o 2.000 do 4.000 biletów mniej niż zwykle. Towarzystwa omnibusowe tracą tysiące pasażerów. Ale najgorzej wychodzą na śnieżycach koleje.

Nietylko liczba podróżnych zmniejsza się ogromnie, ale nadto przysparzają się wydatki, jak oczyszczanie toru, naprawa popsutych sygnałów, telegrafów i t. p. Statystyka angielskiego Towarzystwa kolei północnej podaje, że jeden

dzień zawieruchy śnieżnej kosztował Towarzystwo 2 miliony koron, a dwa inne Towarzystwa musiały wydawać codziennie po po 32.000 koron na samo oczyszczenie toru, gdy przez cały tydzień padał śnieg. Podatnicy słusznie płaczą, gdy śnieg pada, bo to oznacza nowe wydatki na odmiatanie ulic.

W Londynie obliczają koszta jednorazowego odmiatania ulic ze śniegu, na przestrzeni jednej mili, na 8.000 kor. W innych miastach kosztuje to jeszcze więcej, a właściciele domów — naturalnie nie u nas — tysiące muszą codziennie wydawać za zamiatanie chodników przed domami.

## Amazonki w Szangaju.

Rewolucya w Chinach znajduje także wśród płci zwolenniczki. Wszyscy starzy i młodzi zachwycają się rewolucyą.

Ciekawy jest list Chinczynek, uczenic wyższej szkoły żeńskiej w Szangaju, wysłany do rządu rewolucyjnego. List ten brzmi, jak następuje: »Już od dawna kobiety mają te same prawa i obowiązki, co mężczyźni. I my chcemy brać udział w oswobodzeniu naszej ojczyzny, która od czasów dynastyi mandżurskiej jęczy pod jarzmem obcych zdobywców. Wiemy, jakie niebezpieczeństwo straszne wojna w sobie kryje, ale nie mamy obawy, i życie nasze młode chętnie poświęcić chcemy na ołtarzu ojczyzny. Ożywione jesteśmy nadzieją, że po krwawych walkach Madżurowie z kraju zostaną wypędzeni i kraj nasz będzie naówczas szczęśliwy. W tym celu pragniemy utworzyć pułk dziewcząt i z niecierpliwością oczekujemy dnia, w którym w szeregach naszych męskich współbojowników będziemy mogły przypuścić szturm do wroga«.



Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.